№ 14. WARSZAWA, 16 CZERWCA 1906 R. ROK I.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

PRENUMERATA:

w Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
z odnosz. do domu r. k.			
Rocznie	7 60	Rocznie	9 —
Kwartalnie	1 90	Kwartalnie	2 25
Miesięcznie	— 65	Numer pojedyń.	— 15
Numer pojedyńcz.	— 15	Za zmianę adresu	— 22

PRZEGLĄD SPOŁECZNY WYCHODZI CO SOBOTA.

Adres Redakcji i Administracji

Wiejska Nr. 15.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz

Administracja otwarta od 10 do 5—prócz świąt

W interesach redakcyjnych porozumiewać się można od 3-ej do 4-ej

DROBNE RĘKOPISY NIE ZWRACAJĄ SIĘ.

Szanownym Prenumeratorom przypominamy, że czas odnowić przedpłatę na następny kwartał.

Likwidacja szlachetczyzny.

Zdaje mi się, że współczesna myśl nasza niedostateczną zwróciła uwagę — na całe olbrzymie znaczenie historyczne, jakie posiada i dla nas także—aktualna dziś kwestja rolna. Kwestja ta ma dla nas doniosłość mniej ostrą, mniej palącą—z punktu widzenia polityki bieżącej. Znaczenie jej jednak dla ogólnej przyszłości narodu, dla całej jego kultury jest niezmierne—jest to i dla nas także kwestja życia i śmierci. Idzie przecież o ostateczne, całkowite i radykalne wyzbycie się szlachetczyzny, która w ciągu ostatnich trzech stuleci nie przestała być ani na jedną chwilę rakiem, toczącym nasz organizm narodowy. Wywłaszczenie przymusowe jest z tego punktu widzenia czynem olbrzymiej doniosłości historycznej. Wszystkie wysiłki nowe muszą być ześrodkowane w tem dążeniu, aby *czyn* ten był dokonany śmiało, szczerze i konsekwentnie, aby społeczeństwo nasze nie utraciło tej jedynej w swoim rodzaju możliwości otwartego i stanowczego wstąpienia na drogę nowoczesnego rozwoju, na drogę istotnej i rdzennej demokratyzacji całokształtu naszego życia. Bacznie wglądać potrzeba, abyśmy znów odwiecznym zwyczajem nie próbowali sfałszować rozwoju, nieszczerą, tchórzliwą połowicznością wykpić się od wymagań życia. Historja nie zna się na najlepiej intencjonowanej fikcji: wymaga szczerej, nie skąpiącej potu i krwi pracy—i nią tylko żyje. Praca historyczna polega na uświadomieniu sobie zmian, jakie zaszły w życiu, zadań, jakie z tych zmian wynikają—i wypełnieniu ich bez zwracania uwagi na uciążliwość takiego przewrotu.

Jeżeli zaś istnieje dla naszej kultury społecznej — zadanie, sformułowane aż nazbyt jasno—to polega ono na doszczętnem złamaniu znaczenia społecznego szlachty, na wytrzebieniu w sobie samych—w składzie moralnym naszej kultury, w wartościach—na jakich kultura ta się wspiera—wszelkich szczątków szlachetczyzny. Szczątki te są dziś szczątkami jedynie ze względu na swą historyczną anachroniczność, pod względem *siły* bowiem są do dziś dnia jednym z najmiarodajniejszych, najbardziej wpływowych i największą *siłą* historyczną rozporządzających czynników naszego życia.

Dopóki szlachta będzie istniała, jako warstwa społeczna, pierwiastki szlacheckie w kulturze naszej będą się nieustannie odradzać. Wywłaszczenie przymusowe to wreszcie likwidacja szlachetczyzny.

Gdyby hasło to znaczyło tylko: precz ze szlachtą, już i wtedy byłoby ono zapowiedzią i rękojmią odrodzenia narodowego.

Niema ofiar, którychby nie warto było ponieść dla osiągnięcia tego skutku. Wywłaszczenie przymusowe nie rozwiązuje wielu kwestji, przeciwnie stwarza je, stwarza cały szereg zagadnień: ale będą to już zagadnienia nowoczesnego życia, powstające po wyzwoleniu się ze szlacheckiej skorupy. Myliłby się bowiem ten, ktoby przypuszczał, żeśmy się z niej już wydobyli.

Demokratyzm nasz jest czysto nominalny, brak mu najistotniejszej cechy — rzetelnego i bezpośredniego związku z pracą. Tradycji pracy społeczeństwo nasze nie posiada absolutnie. Nie zrozumieliśmy istoty zagadnień, postawionych przez historję nowoczesnym społeczeństwom.

Wiek XVI, epoka tak znamienna dla całej Europy, epoka wielkiego przewrotu przemysłowego — łudzi nas jeszcze cechami świetności i siły. Są to pozory tylko. Nie opierają się one na tej jedynie podstawie rzeczywistej mocy:—na wyzwoleniu z pod powłoki feodalnej—nowoczesnych urządzeń przemysłowego życia.

Podczas, gdy cała praca dziejowa Europy polega od tej chwili na stworzeniu warunków prawno-politycznych dla dojrzewania i rozwoju przemysłowych sił nowoczesnego typu, u nas widzimy w wieku XVII rozpasanie ciemnej samowoli szlacheckiej, niweczącej całkowicie warunki normalnego rozwoju przemysłowego życia. Podczas, gdy cały rozwój nowoczesnej Europy polega na nieustannem wyzwalaniu się, krzepnięciu pracy, podczas, gdy praca i twórczość staje się tem, czem jest z natury rzeczy — podstawą istnienia ludzkości w przyrodzie, u nas zrozumienia dla tej prawdy napróżno szukać. W końcu wieku XVII jesteśmy już w Europie anachronizmem, zagadką. Ruchy i przetworzenia historyczne europejskie nas nie dotyczą. Po wypędzeniu arjanów odpowiada już ostatecznie głosom Kartezjuszów, Malebranchów, Lock'ów, Vic'ów — tylko wycie pijanej, głupiej, szlacheckiej tłuszczy.

Od tego czasu nigdyśmy nie weszli na drogę nowoczesnego rozwoju całkowicie i szczerze. Myśl, że praca jest jedyną podstawą człowieka w przyrodzie, sama jest wynikiem i zdobyczą pracy.

Sorel nazywa ją słusznie nabytą z trudem. Szlachecka przewaga, dotychczas w społeczeństwie naszem nie złamana, nie dopuściła nigdy do całkowitego męskiego zrozumienia tej myśli, do wytworzenia odpowiadającej jej kultury. Szlachecka, próżniacza atmosfera zatruwała i zatruwa dotychczas życie innych warstw. W literaturze naszej przemaga typ i skład duchowy człowieka używającego. Mówi się o subjektywizmie naszej literatury. Użycie jest zawsze subjektywne. Objektywną jest tylko praca. Literatura nasza stawia pytanie tak: czem ma być świat, aby dusza tak szlachetna, jak moja i moich czytelników mogła w nim żyć bez obawy zbrukania się.

Punktem ciężkości jest *ja* i jego piękno. Świat musi się zmienić przez uznanie tego naszego dostojeństwa, naszej czystości wewnętrznej. Punkt widzenia godny polinezyjczyków. Stosunek istotny człowieka do świata — dotychczas ani razu nie zapanował u nas. Sądzimy, że jeżeli praca ma istotnie pewne prawa, to jako pewien rodzaj zasługi. Są to rzeczy napozór drobne. Ale są to wykładniki ogólnego charakteru całej naszej kultury. Te same rysy zasadnicze odnajdziemy we wszystkich gałęziach i dziedzinach naszego życia. Na takich podstawach opiera się u nas wychowanie i to w tych już wypadkach, w których wogóle ma ono jakiekolwiek podstawy. Takim jest zasadniczy stosunek całej naszej świadomości do życia. Świadomość ta i jej formy wykrzywiają życie i orjentację nawet klas pracujących.

Polski socjalizm nosi na sobie niejedno piętno szlacheckich przeżytkowych wpływów. Nie dosyć jest wyklinać szlachtę, aby się od jej władzy moralnej wyzwolić — trzeba przezwyciężyć *sam* zasadniczy, typowy stosunek do świata, przez szlachtę naszą—myśli całego narodu zaszczepionej. Charakteryzuje ten stosunek przekonanie, że praca nie jest jedyną formą zabezpieczenia swoich praw w świecie, przekonanie, stanowiące duszę całego ustępującego, ginącego świata. Wobec przyrody człowiek jest tylko pracownikiem. Praca jest jedyną rzeczą ludzką, mającą pozaludzkie znaczenie. Nie idzie też o logiczne przezwyciężenie myśli, o umysłową zmianę zapatrywań. Zapatrywania wchodzą tu w rachubę, jako świadomościowe uogólnienia i skróty rzeczywistych stosunków. Zagadnienie, z jakiem walczy nowoczesna ludzkość, polega na zorganizowaniu społeczeństwa jako całkowicie i świadomie opartego na pracy, nie uznającego poza nią żadnych innych wartości.

Nie potrzebuję mówić, że jest to zadanie skomplikowane. Przekształcenie socjalistyczne — to nie wyzwolenie od pracy—to wyzwolenie pracy. W obrębie naszego społeczeństwa musi już dojrzeć człowiek społeczeństwa przyszłego, pracownik kochający pracę, mogący ją kochać, gdyż nie zabija ona w nim człowieka. Socjalizm, walcząc o lepsze warunki dla pracy, walczy nie tylko o wyzwolenie robotników od ciężaru, walczy także o możność spełnienia najważniejszego kulturalnego zagadnienia naszych czasów — o pogodzenie i zjednoczenie wewnętrznego człowieka i pracy przez niego spełnianej. Widzimy jak wielostronnem jest zadanie — walka polityczna stwarza tu pole dla pozytywnej społecznej pracy, ta ostatnia stanowi podstawę dla pierwszej. Pierwszorzędną rzeczą jest, aby istotne znaczenie zadania nie zostało zapoznane, pierwszorzędną rzeczą jest, aby cała kultura nasza nie była w sposób tak bezwzględny obca *idei pracy*. Dopóki szlachetczyzna nie będzie złamana, unicestwiona, osiągnąć się to nie da. Szlachecka hegemonja to nietylko spotęgowanie ucisku, z którym walczyć muszą przedstawiciele mas pracujących, to także nieustanna demoralizacja świadomości narodowej. Naród nasz nie posiada w tradycji mieszczańskiej przeciwwagi dla tych destrukcyjnych, antikulturalnych oddziaływań psyche szlacheckiej. Dzięki szlachcie właśnie mieszczaństwo nasze nie zdołało się nigdy rozwinąć do znaczenia samoistnej siły historycznej. Dzięki temu jesteśmy i pozostajemy wciąż społeczeństwem kulturalnie niedojrzałem, jakiemś zwyrodniałem, anachronicznem, średniowieczem. Naród nasz żyje w nazbyt trudnych warunkach, aby mógł sobie pozwolić na luksus powolnego zamierania przestarzałych, zużytych organów. Zamieranie szlachty powolne byłoby też powolnem i nieustannem fałszowaniem procesu historycznego u nas, fałszowaniem całej naszej kultury. Społeczeństwa, które nie przeistoczą się w społeczeństwa wolnych pracowników, zginą: kultury narodowe, które nie staną się myślą i słowem pracy—zamrą. Szlachta jest śmiertelną chorobą narodu naszego.

Wywłaszczenie przymusowe większej i średniej własności ziemskiej jest kwestją życia i śmierci kultury polskiej, nawet gdyby w prowincjach zabranych oznaczać miało całkowite spłukanie z powierzchni elementów polskich. Utrzymywanie kosztem pracy mało- i białorusinów, żmudzinów i litwinów —próżniaków, mówiących językiem polskim, nie leży bynajmniej w interesie narodu. Warunki zaś rozwoju pracujących polaków nie są bynajmniej związane z zachowaniem w prowincjach tych—większej własności ziemskiej.

Żadne szowinistyczne szachrajstwa i sofizmaty nie przemogą tej prawdy: szlachetczyzna jest klątwą ciążącą na nas. Przymusowe wywłaszczenie przez to samo już, że ją zniszczy społecznie — że zniszczy typ duchowy szlachcica, powinno być witane jako wielka data historyczna. Jeżeli tej pracy dokonamy szczerze, zabezpieczymy rozwój i przyszłość kulturalną naszego narodu,

widmo chłopskiego społeczeństwa, chłopskiej kultury niech nas nie przestrasza.

Kraj nasz nazbyt jest zaawansowany na drodze rozwoju przemysłowego, aby tradycyjna uprawa, zwłaszcza po zdemokratyzowaniu własności ziemskiej mogła się utrzymać. Unowocześnienie, intensyfikacja kredytowo-meljoracyjnych kooperatyw rolnych doprowadzić musi w przeciągu życia paru już pokoleń do przemiany chłopa naszego w kulturalnego, przemysłowego uprawiacza ziemi. Przedewszystkiem jednak społeczeństwo musi odzyskać zdolność pracy i przedewszystkiem i za wszelką cenę: trzeba się wyzbyć szlachetczyzny.

St. Brzozowski.

ZIMNEJ KRWI!

—o—

Spotykam ludzi nieustannie tryumfujących: każą im o pralni i oranżerji rozprawiać, dobrze im tak tym burżujom. Wyznaję, tracę wtedy chęć dyskusji. Rzecz sama byłaby błaha, więcej niż błaha. Znamy przecież wszyscy ten typ: przed paroma laty ci sami ludzie zwracali się z nieustannemi żądaniami: dlaczego oni dotychczas nie zrobili jeszcze tego, tamtego, owego. To, tamto, owo—było zazwyczaj dziwnie melodramatycznie naiwne. Oni — byli to socjaliści, socjalna demokracja niemiecka, rewolucjoniści rosyjscy — wszystko siły dziwne, tajemnicze, których znaczenie w wyobraźni zblazowanych sędziów chwiało się pomiędzy zerem— a wszechmocą. Dla zdeklarowanego znudzonego filistra—rewolucja jest dostarczycielką efektów. Jego żądania są nieokreślone,—chce mu się gwiazd z nieba i tafelki z pieca—jego poczucie sił dziejowych całkowicie iluzoryczne: mierzy on je bowiem nie zapomocą symptomatów realistycznego ich narastania, lecz tem podnieceniem nerwowem, jakie wzbudzają w nim wypadki, miara niepewna, chwiejna, jak kaprys brzemiennej kobiety, jak program postępowej demokracji, jak światopogląd wstępnych artykułów *Krytyki*. Rewolucja jest czemś ponadludzkiem, ponadprzyrodzonem. Jest to jak meteor, nie wiadomo, skąd przyszedł, dokąd idzie, psy wyją, ludzie spać nie mogą, Kazimierz Tetmajer upija się dynamitem tak jak przed dziesięciu laty — absyntem—a więc przedewszystkiem, w wyobraźni, Jan August Kisielewski — stawszy się poprostu Augustem, bredzi już publicznie—słowem wszystko jest możliwe.

Rewolucja... Wszystko się zmieni.

— To i ty teraz możesz być genjuszem—pyta się swego męża grafomana, znudzona jego bezdarnością żona.

O tak! Wszystko jest możliwe—rewolucja.

I tworzą się dziwne, coraz dziwniejsze kombinacje.

Nowaczyński gilotynuje Łapszyna, później udziela mu amnestji.

Jellenta myśli już o stronnictwie, które broniłoby praw twórczej przyjaźni wobec niwelującego socjalistycznego despotyzmu. No i tak dalej.

Z tą samą skalą zmęczonych, znudzonych nerwów przechodzi się do oceniania momentu politycznego, a przedewszystkiem naturalnie nieszczęśliwej dumy.

Rzecz dziwna: ci sami ludzie, którzy pragną dowieść, że Duma jest niczem, zarzucają jej, że nie jest wszystkiem.

Nie macie rąk, powiadają, tylko głowy i języki.

Wiemy o tem, odpowiada Duma, to też chcemy tylko stworzyć takie hasło, aby większość rąk — była z naszej strony.

Nie, wy, powinniście krzyczeć, krzyczeć — tak aby padły mury więzień i fortec. Przecież trąbom pod Jeryho udało się to.

— Przyjaciele, powiedźcie nam raz, z ludźmi jakiego światopoglądu mamy do czynienia: — czy potępiacie nas w imię jeryhońskich trąb, czy też realnej myśli ludzkiej — wierzącej tylko w siłę świadomości o tyle, o ile działa ona poprzez zorganizowanych, zjednoczonych ludzi.

— To są — bourgeois! Zdrajcy, zdrajcy! Niech rozprawiają o pralni, o pralni, woła surowy krytyk.

— Przyjacielu — mówią—czy *wy już* jesteście gotowi zrobić to wszystko, czego Duma zrobić nie może?

— On jest gotowy!

Kto on?

Proletarjat.

Dlaczegóż nie robi.

Zamiast odpowiedzi: zdrajcy! zdrajcy!

Jest to zabawa w słowa. Znudzone, zmęczone, zbolałe nerwy nie znajdują strawy — w dumie — tworzy sobie tajemnicze, groźne widmo proletarjat. To śmieszne bałwochwalstwo — niema nic wspólnego z realnie myślącą, krytyczną samoistną polityką klasy robotniczej. Burżuazyjna historja zdeklasowanych intellektów zatruwa dziś rosnąca świadomość klasy robotniczej. Okrzyki: zdrada kadetów, zbrodnia kadetów nie pozwalają zrozumieć istotnego położenia. To też zamiast jasnej, dokładnej świadomości politycznej podsuwa się klasie robotniczej mit uspakajający uczuciowe potrzeby niekiedy aż do bohaterskich uniesień zdolnych — jednostek i inteligencję. Nie jest on jednak tem, czego klasa robotnicza jedyna warstwa zdolna zrozumieć pełną prawdę dokonywających się przetworzeń — potrzebuje: trzeźwej wiedzy o istotnym stanie rzeczy.

Reminiscencje z 1848 jak i z roku 1789 są jednakowo nieprzydatne—trzeba zrozumieć sam moment — obecny.

Kluczem pozycji jest dziś kwestja agrarna. Przetłómaczyć hasła ruchu wolnościowego tak aby znaczyły one dla stumiljonowej masy: ziemia. Nie ziemia in abstracto, ale ta, którą znam, widzę, na którą od wielu lat patrzą z tęsknotą podczas głodu. I gdy ta ziemia będzie przyznana *przez prawo*, uchwalone przez Dumę, a niewykonane dzięki oporowi biurokracji — sprawa będzie przesądzona.

Dziś już można powiedzieć — biurokracja pod wodzą Goremykina przeżyła nową Cusymę.

Moment charakteryzuje się przez to: my chcemy, abyście mieli ziemię, a oni- pragną, abyśmy radzili o pralni.

Rosyjska biurokracja dała sobie sama mata: duma ma dziś wszystkie atuty w ręku. Nie wątpię, że je wygra. Gdy duma odrzuci projekt rządowy reformy agrarnej, a uchwali własny — sprawa rzeczywistej swobody, rzeczywistego na prawie opartego porządku będzie rozstrzygniętą. I naturalnie z genjuszem ślepoty dziś już warszawska P. D. pozwala sobie na koncepty — o dumie, która duma. Taka lekkomyślność przystała kawiarnianym witzmacherom. Nie należy jednak histerycznych wybryków, rozgorycznych, zblazowanych „burgeois" przenosić do organów myśli robotniczej. Tu już lekkomyślność staje się poważnym grzechem.

S. B.

ANTONI MILLER.

Z dziennika prostytutki.

(Ciąg dalszy).

Boże! Daj siły!... Gejsztor przyjechał...

Wszystkie zajęte — więc zabiera — mnie!

Warszawa, dn. 15 maja godz. 8 rano.

Jestem w Warszawie... Przed tygodniem opuściłam Łódź; zawdzięczając to bogatemu inżynierowi, który mnie wykupił.

Pomimo tego czuję, że się staczam stale w przepaść. Od nocy wczorajszej — stałam się inną. Taka noc trwa sto lat.. Ona z mocą cudu uświadamia stan zbudzonej z obłędu duszy.

Widzę wyraźnie, że ból rozpaczy, ból zawodu, duch zemsty i niedoświadczenie życiowe wtrąciły mnie na drogę śmierci.

Żywiołowa moc zemsty kobiety, nienawiść ku mężczyznom po zachowaniu się Wolskiego i zdradzie Andrzeja — odrazu przeistoczyły mnie w zwierzę. Chciałam mścić się drwiną, pogardą! A stało się inaczej: Zdeptano mnie!

Bo siła po stronie brutali! Mężczyzna szuka u nas nie pieszczot, nie duszy, nie ukojenia krwi, lecz cynicznej zabawy, sztucznych podniet!

Chciałam się mścić — zdeptano mnie!

Chciałam pluć, a moje plucie spokojnie ścierano z twarzy.

Teraz należę do jednego... On mię wykupił, opłaca i zadawalnia się iluzją miłości.

Nawet wyobraża sobie, (jak sam powiada), że jest żonatym.

Kto wie? może, jak się ożeni — będzie myślał odwrotnie: żonę będzie uważał za kochankę?

Psy!

21 maja.

Nie umiem powiedzieć — dla czego, ale czuję w mem teraźniejszem życiu większą podłość i upadek, niż w ciągu owych kilku miesięcy. Żaden prawie nie wywierał na mnie wrażenia, czułam do każdego wstręt pomimo podniety zmysłowej; tylko Kazimierz pozyskał moją sympatję, podobał mi się. Wszakże patrzę nań jak na wroga. Często doznaję takiego wrażenia, jak gdybym była ptakiem, wypadłym z gniazda w trawę podczas ulewy... Potem jaśnieje słońce, zagląda do mego schroniska i osusza zmoczone skrzydła... Chcę wyfrunąć w górne szlaki i skąpać pióra w zdrojach powietrznych, lecz słyszę cichy szelest kroków nieznanego mi wroga i boję się wyjrzeć na świat Boży. A może skrzydła nie udźwigną błota? A może są złamane?... Mogę wpaść w ręce wroga...

I pozostaję w ukryciu, drżąc ze strachu przed wrogiem nieznanym...

Ach ty, życie! życie!

31 maja.

Kazimierz dwa razy już wyjeżdżał i powracał. Całe noce kreśli plany i dopiero nad rankiem delikatnie budzi mnie...

Półsenna, doznaję uczucia pewnej tkliwości ku niemu i pragnę wspólnej rozkoszy.

Jaki on inny! Zachowanie się jego podobne jest do pieszczot Andrzeja.— Drżę ze wstrętu na wspomnieo mężczyznach łódzkich. Młodzi, drżąc rzucali się na opłaconą ofiarę.

* * *

Ach, jakaż mię noc otacza! Czuję dziki szał zgrozy w duszy wobec potwornych czynów ludzkich. Legjon pytań, — nierozwikłanych. Dla czego ja się zatruwam tym rojem pytań?

A pod czaszką kipi mózg!

A w sercu gdyby zlep robactwa!

Wichurę zawrotną rozkoszy słyszą tylko mroki nocy.

Kiedy zaś krew gaśnie, zimny pot zlewa piersi, znużone ręce opadają na zimne posłanie, czuję wtedy brutalną czyjąś dłoń na głowie.... Mózg się rozpala— drży serce i łzy rozpierają pierś....

Kazimierz widzi to, próbuje wywołać uśmiech, całuje ręce, przemawia serdecznie — lecz ukojenie chwilowe przechodzi znów w jakiś powiew śmierci....

Gdyby nie delikatność Kazia i nie pieszczoty szczere, a estetyczne — uciekłabym od niego....

Ta cisza w mieszkaniu i swoboda skupia wokół mnie legjon zaczajonych duchów, których się boję.....

Warszawa, d. 1 czerwca.

Gdy piłam rano herbatę, ktoś mocno szarpnął dzwonkiem. Lokaj wyszedł na miasto, więc otworzyłam sama.

Weszła wysoka, wykwintnie ubrana kobieta.

Cofnęłam się o kilka kroków.

Czy Kazio w domu? śpiewnie spytała nieznajoma.

— Niebawem przyjedzie, odparłam.

— Czy pani jest.... pani Salomea?

Tak, wykszusiłam machinalnie, poczem fala krwi uderzyła mi do głowy.... Oparłam się o futrynę drzwi.

Lecz w tej chwili nieznajoma podeszła ku mnie i życzliwie wyciągając dłoń, przedstawiła się:

— Sajkowska,—matka Kazia.....

Nie pamiętam, jak podałam rękę, a nawet nie pamiętam napewno, czy ją podałam.....

Uciekłam do swego pokoju, ubrałam się i złożyłam rzeczy do kosza.

Czekam powrotu Kazia. Nie dopuszczę, aby mnie matka mego kochanka wyrzucała z domu. Uciekam stąd. Dobrze nawet, że się tak stało! Raz koniec!

* * *

10 czerwca.

W chwili, gdy chciałam opuścić cicho dom Kazia i szukałam zapałek, by na kominku spalić dziennik, — wszedł Kazio i powitał mnie pocałunkiem w czoło. — Matka stała na progu i widziała to....

Poczułam coś niewyraźnego w duszy. Zdawało mi się, że ktoś bierze mię na ręce i zamierza rzucić z wysokiej wieży na ostrza kamieni. Drżałam cała.

— Co ci jest? Tyś w gorączce? Spytał Kazio.

Chciałam go odtrącić, lecz spazm w gardle jął mię dławić.... Stałam milcząca, nieruchoma....

Nie spostrzegłam, jak matka Kazia podeszła do mnie i położyła dłoń na czole.

— Stanowczo jest chorą, Kaziu!

Odtrąciłam Kazia.

— Nie trzeba mi nic, zawołałam, tylko puśćcie mnie!....

Dalej już nie pamiętam, co było.....

Dziś dopiero dowiedziałam się od służącej, że matka Kazia sama czuwała podczas mej gorączki.....

To okrutne! Tak się pastwić nad biedną kobietą. Ratować człowieka, — by mu potem pokazać drogę do szubienicy! I czego oni chcą ode mnie? Przecież byłam psem potulnym dla Kazia i nie zrobiłam mu nic złego! Nie wymagałam ani pieniędzy, ani rozrywek.

Trochę ciepła, nawet iluzji ciepła!

Trochę szacunku dla człowieczeństwa, abym nieco zapomniała o swym upokorzeniu.

Głowa mię boli, słabo mi....

Z trudnością kreślę dziennik.

* * *

Już druga godzina, a nikt nie przychodzi..... Dzwonek.... To listonosz, poznaję go po głosie!

. . . .

List od matki. 11 czerwca.

Dziś stała się rzecz dziwna: Pani Sajkowska przytuliła mnie serdecznie, potem z nieudaną tkliwością przemówiła mniej więcej w te słowa:

— Bogu dziękuję, że jesteś na drodze wyzdrowienia. Kobieta, która zasłużyła na szacunek i miłość mego syna jest mi bardzo drogą. Już kocham cię jak córkę. Kazio mi mówił o tobie wszystko.... Wiem, że kocha cię. Pokochaj i ty go! Miłość zdolną jest zmyć w kobiecie najstraszniejszą przeszłość. A tyś dziecię nieszczęścia.

— Pani! odparłam na to w podnieceniu, blizkiem gniewu.... Proszę mi wyjaśnić odrazu, po co pani proteguje rozpustę naszą? Dziś syn ma jedną kobietę, jutro drugą — pojutrze — żonę! Mężczyźnie tak łatwo o kobietę! Wierzę, iż z serca mi udzielacie wszystko, ale po co? Kamelja pozostanie kamelją..... Skąd wzięto mnie — powrócę.... Tak losy kierują nami....

— Nie płeć od rzeczy, przerwala mi Sajkowska! Miłość nie idzie w parze z rozpustą: te rzeczy wzajemnie się wykluczają. Jesteś słabą, pomówimy o tem później.

Wyszła.

Nowe powikłania! Stara naprawdę przypuszcza, że pokocham jej syna!

Nie miałam odwagi powiedzieć, że moja dusza dla miłości umarła. Zostawię łódź życia prądowi czasu.... Ha! Rafy rychło się znajdą.....

Przecież nie mogłam, nie mogłam zasnuć smutkiem tych błękitnych oczu Kazia i pobłażliwie — smutnych oczu matki! Kto wie? Może to pierwsza miłość mężczyzny? Może matka widzi we mnie ratunek syna?

Muszę jednak rozmówić się z nią sam na sam.... Ale potem..... Dziś jestem osłabioną....

* * *

(d. c. n.)

Nad grobem Ibsena

po przedstawieniu Rosmersholmu — rozmowa.

pani Marji Zawiejskiej fragment ten przypisany

—o—

Artystka, która grała Rebekę:

Wśród tłumu, a jednak sami
Pod kroćmi spojrzeń — bez świadka
Tworzymy.
Sami wchodzimy w głębiny,
I sami wracamy znów,
Nic nie wynosząc,
Prócz złudnej
Pamięci minionych snów.
Nie świadczy marmuru bryła,
Ni w barwy zaklęty szał,
Co dusza nasza wyśniła.
Sny otrząsamy, jak liście,
I słyszym ich smętny szmer:
Spadają, więdną i giną,
A kiedy wszystkie przeminą,
Straszą odarte gałęzie,
Szkielety nagie, jak myśl,
Kiedy bezsilnie wspomina:
Któż powie, czy kwiaty były?
Któż powie, czy śnił się sen?
Opadły.

I jestem sama,
O kwiat jeden życia biedniejsza,
I nie wiem, czy kwiatem był?
Czy tylko złudne miraże
Śniły się drzewu
W spiekocie,
Że cieniem i kwiatem darzy.

Dramaturg: To dziwne:
Coś podobnego myślałem dziś,
Patrząc na panią.
Zdawało mi się niekiedy,
Że ponad głowę postaci
Wyrasta pani twarz własna,
Że się nachylasz nad sobą
I kładziesz dłoń
Na głowie tej, która gra.
A sama jesteś inna,
Smutna i szukająca,
Na jedną chwilę wzruszona,
I jakby oczekująca,
A potem już zawiedziona,
I tylko pobłażająca.
Pobłażająca tej drugiej,
Że jeszcze giestem się cieszy.
I zdało mi się, że słowa
Są, jakby więdnące kwiaty,
Że zanim w duszy wykwitną,
Ty wiesz już,
Że przecież zwiędną
I z rąk je wypuszczasz,
Nie patrząc.
I była królewska wzgarda
W tem wszystkiem:
Rebeki postać
Była jak gdyby ogród
Czy las...
Tyś szła w coś zapatrzona,
Zrywając ręką niedbałą
gałęzie,
Po przez załamy lasu
Szłaś jak lunatyczka,
Jak gdyby gardząc
Przepaścią,
Co tylko w sztuce jest,
Jak gdyby tęskniąc
Za tragizmu gromem,
W żywe bijącym serce.

Artystka: Gra zatem była chybiona.

Dramaturg: Nie to myślałem.
Tyś pani była nad grą.
Smutek przyzwalający
Był poza giestów i tonów
Harmonją.
Tyś nie grała
Tyś przyzwalała na grę.
A sama —
Smutna królowa —
Darzyłaś dziwnym uśmiechem
U stóp twej samotności
Rozerwać cię usiłującą
Napróżno
Tancerką.
Tak słuchał król Saul
Dawida gry.
Tęsknocie jego się litował:
Choć pustki nie przełamie,
Niech nie wie,
Niech zapomni,
Niechaj się szczęściem upoi
I myślą,

Że smutna pani,
Poprzez szlaki słów,
Razem z nią zdąża —
W świątynie milczenia.
A w duszy była samotność
I żal
I cichy płacz...

A dusza była, jak tafla
Zamarłych na wieki wód,
Kiedy już zgasną gwiazdy.
I księżyc,
Czarodziej fal
Na niebo nie wejdzie
Nigdy już
Wód srebrzyć...
I tylko ciemności mgła
I we mgle
Żałosny krzyk.

Wśród nocy ginących mew,
Łabędzie koczują w ciemności
Bez śpiewu.
Siebie nie widzą wśród fali
I nie wiadomo, czy to sama mgła
Tak skarży się.
Czy ptactwo stęsknione
Smutek ogarnął wody,
I łabędzie milczą.
Lękliwa mewa jeszcze
Skarżyć się ośmiela,
Na ciemność, na pustkę, na noc,
Na ciszę,
Która głosy dławi,
Na gwiazdy,
Że na wieki zgasły,
Na księżyc, że nigdy nie wróci,
Na wody, że nie zmyją burz,
Że są tak ciche, tak martwe,
Jak gdyby nigdy już
Duch Boży
Nie miał na nie spłynąć,
I na to czarne kamienne milczenie,
W którem jest ciężko żyć
I ciężko ginąć.

Artystka: Tak jak płaszcz spada
Pożyczone piękno:
Za bólem własnym łka serce,
Własnemu pragnie losowi

Twarzą w twarz zajrzeć dusza
I zmierzyć się i zginąć,
Grom ściągnąć
I przeminąć,
Z tą wiedzą,
Że biją gromy,
Że świecą łyskania.
Ach dajcież mi szczęście skonania,
Któreby było moje, moje własne,
Któreby własne mi śpiewało słowa,
Lub własną ciszę,
Jak głazem przywarło.
Lecz było moje, moje i niczyje.
Niech by choć kres
Wziął pamięć obcych bytów
I tę tęsknotę:—być inną,
Pokusę, która z oddali
Twarzą nam przyświeca własną,
A później w duszy
Wyszczerza uśmiech
Błazna-kościotrupa.
Kto ciebie szuka,
Znajdzie tylko maskę.

Sztuka:

Życie było takie marne,
Takie niegodne, by żyć
Więc sztuki!
Giest czynić za to, że jest piękny,
Słowo rzec, co głębiną brzmi...
A jednakże niema, niema upojenia:
W duszę wciąż patrzy to samo,
Nienasycony upiór:
Wieczne nic.
Ach jedną tylko,
Choćby chwilę skonu,
Nie zdawać się, nie myśleć,
Lecz być.
Głosem być i nie szukać echa!
Prawdą,
Co nie zna ułudy obrazu,
Sobą być:
Kształtem nagim, nie mającym wstydu,
Nic nie pamiętać!
Przepomnieć grzech marzeń.

Sztuka!

Ja myślę,
Że piękno,
Co nie jest jako blask Boga
Na Montblanu szczycie,
Tak nieskalane,
Przez żadną źrenicę
Prócz Bożej,
Co łyskając, widzi,
Że piękno, które zna świadectwo
Podziwu
Choćby własnej tylko
Uciśnionej duszy, —
Już sobą nie jest,
Już jest rozdwojone,
I już część blasku schłonęło widzenie.
Bóg, wieczny stwórca,

Widzi przez tworzenia,
I nie ogląda się na dzieło swoje,
Gdyby wstecz spojrzał,
Czasu by strumienie zastygły
I Bóg by stał się lodowiec wieczysty
Nie tryskający słup życia ognisty

Piękno jest zawsze
Jak alpejskie śniegi
Niepodeptane.

I oko niczyje
Nie ujrzy piękna,
Jakiem się skrzą w Bogu
Prawdy tych rzeczy, co są,
Lecz któż z nas ma śmiałość
Czuć w sobie piękno
Rzeczy, drogiej Bogu.

To mnie rozłącza
Na świeżej runi traw,
Lecz myśl, sięgająca wstecz,
To wybiegając wprzód,

Zamąca spojrzenie
Wiecznie tworzącej łyskawicy—Boga,
Któż z nas być podoła,
Jak śnieg wieczysty
Pięknym
Dla nikogo.

O tak bym raz chciała
Zginąć
Pod gruzem, w jaki się rozwala
Gmach marzeń.

Ja załamań tyle
Widziałam ponad sobą,
Codzień trzask podziemny,
Głuchy grzmot

Słyszę,
Zarysowujące się widzę sklepienia,
I zdruzgotana walę się kolumna,
Z tęsknoty,
By nie powstać,

By mi nie daną była
Śmierć orła,
Górna, dumna,
By piękna mogiła

Podemną się rozwarła.
Codzień piękno ginie,
I co dzień z pośród gruzów dźwigam się
Smutniejsza,

Czyśmy już nędzni tak,
Że żadne ruiny,
Nas nie pogrzebią,
Że śmierć wielkości
Nie jest zgubą naszą,
A skon nasz przejdzie, niby krąg na wodzie.

Dramaturg:

A będę wołać górom,
By upadły
I ziemi prosić,
Aby się rozwarła,

A śmierci niema, gdzie niema istnienia,
Grób jest, jak zasługa:
Wyrasta z życia.
My urojonych gmachów —
Widzące Samsony

O filary wsparci
Własnej swej dumy,
Za sądem tęskniący,
Walimy kłamstwa gmach
I wznosimy nowy,

Co odurzy i pada w nicość.
A my swej nagości,
Ujrzeć niezdolni,
Próżno wyzywamy gromy,

Które chrzest dają,
Bo kto ukochania powalił budowę,
A sam się ostał,
Ten tylko się łudził,
Bo nie przeżywa się miłości swojej,
Więc sen kłamliwy—jest nasza duma,
I sen — sądy nasze,
Pioruny Boże
Gardzą urojeniem
Nicości.

Artystka: Lecz przecież sąd Boży
Codzień się czyni;
W gruzy idą gmachy,
Kiedy się wielkość stanie więzieniem
Nieogarnionej treści

Dramaturg: W proch idzie wielkość.
Lecz nie naszym głowom
Głoszą jej upadek:
My nie Prometeje,
My w niebiosa szturmu
Własną swą nigdy nie czynili głową,
Nie przez nas Bóg żył
I nie w nas umiera,
Pierwej nam duszę trzeba przywdziać nową,
Zanim dostąpim tryumfu zagłady.

Artystka: Kiedy dusza poety łaknęła przed skonem,
Gdy sąd czyniła nad żywota dziełem,
Fata morgana walk, sądów, zmagań,
Pierzchnęła,
Pozostała pustka.
„Fałsz“ wołał twórca
I z serca pragnieniem odszedł.

Dramaturg: Wszedł w ciszę śmierci
Człowiek, co by łyskawic łaknął chrztu,
I chryzmatu gromu,
Lawiny łoskotu
Pragnął nad sobą,
Tak jak deszczu pragnie
Zapomniana rola.
Tęsknił za gromem,
Który w proch rozbija
Wielkość
I cudem uświęca.
Na wież obłędne szczyty
Pragnął iść,
W orłów śpiew
Wmięszać słowa swoje,
Rozmowę wieść
Z tym,
Co nad orłami,
Lecz by zobaczyć Boga piorun jasny,
Trzeba uwierzyć
W szczyt, że jest nasz własny.
Trzeba stać na nim nie myślą—marzeniem,
Lecz ciałem—pracy.
Bezcielesnemi Bóg gardzi myślami:
Niezmierzonemi on myśli słońcami,
Pioruny jego w marzenia nie godzą,
On tych tylko strąca,
Co wolą bezkreśni
Swem dopełnieniem staną się cieleśni,
Pioruny gardzą
Myślą, która kłamie,
Nie duchem —
Ciałem stać trza na załamie
Przepaści,
Wtedy się rozjaśni
Boga twarz
I w otchłań waląc nas,
Co wielkość zniesie.
Jego grom —
Sztuka, co nie na pancerzu
Uśmiechem słońca jest,
Ni błyskawicą, bijącą w szyszaki,
Ani kilof pośród wiecznej nocy
Z stalowym połyskiem,
Jest pawiem piórkiem,
Choćby była mroczna
I pot, co z czoła jej spływa kroplisty
Nie jest, jak w oliwkowym
Ogrójcu ów
Świętością swoją rzeczywisty.

Artystka: Z wołaniem: „łaknę“ odszedł duch poety.

Dramaturg: Więc go pogrzebcie wśród gór,

Niechaj słyszy grom lawiny,
Ryk wodospadu,
Niech mu orłowie śpiewają,
Niech go otoczy wielkość,
Niech go ukołysze,
Czy też przebudzi.

Artystka: A niechaj mu ciszę

Wieczystą przerwie
Wołanie ogniowe,
Na trumnę jego ciskała, bym słowy,

I nie prosiłabym ziemi,
By mu lekką była.
Życie mu zaciężyło już lekkością swoją,
Niech w trudy go wiedzie mogiła.

St. Brzozowski.

SPRAWOZDANIA.

W. M. Kozłowski. Wykłady o filozofji współczesnej. Lwów 1906. Nakład księgarni Polskiej.

Książka p. Kozłowskiego, która przedstawia nieco rozszerzoną edycję wykładów, wygłoszonych przez autora w salach uniwersytetu lwowskiego w styczniu r. 1905, przeznaczona jest dla ogółu wykształconego, dla ludzi, którzy nie oddają się zawodowym studjom filozoficznym i, nie należąc do ludzi warsztatu twórczego, niekiedy bardziej ograniczonych lub jednostronnych od nich, przyjmują nie zawsze wprawdzie krytycznie i świadomie to, co w dziełach twórców znajdują bądź trwałego, bądź odpowiadającego potrzebom chwili i upodobaniom własnym, aby wcielić to do swego poglądu na świat. Na pytanie, cóż dla tego ogółu stanowi filozofję współczesną, autor odpowiada w sposób następujący. „Miarą wartości tworzącej się filozofji jest ta: w jakim stopniu ma ona widoki przejścia do świadomości ogółu, a w ten sposób nabycia pieczęci trwałości. Krytyka filozoficzna usiłuje przedewszystkiem określić to prawdopodobieństwo: ma wszakże ona i inne probierze. Historja, przeciwnie, opiera sąd swój nie na prawdopodobnem przewidywaniu, lecz na fakcie dokonanym". Dalej autor zwraca uwagę na to, że jakkolwiek jego zestawienie postaci, które (w jego przekonaniu) ogniskują w sobie myśl współczesną i którym przeto poświęcił swoje wykłady, może na pierwszy rzut oka wydać się dziwnem i nieumotywowanem, atoli łatwo dostrzec, iż doktryny, wciągnięte w zakres tych wykładów, obejmują wszystkie istotne składniki myśli współczesnej i że niema wśród nich żadnej, którąby do pogrzebanej należała przeszłości. Wskazuje też autor na to, że inne jest zapatrywanie się filozofa specjalisty na swój przedmiot, inne wykształconego ogółu. Pierwszego interesują szczególne zwroty, nowe formy, jakie nadaje pewien myśliciel odwiecznym zagadnieniom bytu. Drugiego obchodzi w filozofji przedewszystkiem to, z czem ona styka się z zagadnieniami życiowemi chwili bieżącej. Stwierdzając potem, że *z tego ostatniego stanowiska* oceniać będzie filozofję współczesną, autor zadanie swoje określa w sposób następujący: *„Mamy zamiar dotrzeć do źródeł ideowych, z których sączą się strumienie umysłowości współczesnej"*.

Zobaczmy teraz, jak się p. Kozłowski ze swego zadania wywiązał. Niepodobna tu streszczać obszernej jego pracy; wymienię tylko najgłówniejsze systemy filozoficzne, które autor tam omawia. Rozpoczyna on od St. Simona, którego traktuje, jako zwiastuna nowych kierunków, rozpatruje filozofję Comte'a i pozytywizm, materjalizm w Niemczech, przyrodniczy pogląd na świat, filozofję Milla i Spencera, neokantyzm i filozofję Wundta; wreszcie omawia kosmopolityzm i socjalizm na podstawie materjalistycznej, pesymizm i optymizm, oraz indywidualizm. Autor uważa, że dwa główne zagadnienia, wobec których stanęła filozofja w XIX w. są następujące: w zakresie teoretycznym — wyrobienie jednolitego poglądu na świat, mającego zastąpić rozwiane fantasmagorje systematów metafizycznych, a opartego na wiedzy; w zakresie praktycznym—rozwiązanie wielkiego zagadnienia społecznego, ujawniającego się w formie najogólniejszej, jako antagonizm indywidualizmu ze społecznością. Kto zna działalność literacką autora, a zwłaszcza jego „Dekadentyzm współczesny", kto zna ogólny charakter jego filozofowania, ten łatwo przewidzieć może, że wymienione zagadnienia będą tutaj bardzo pobieżnie traktowane, iż autor ich istoty dokładnie nie zrozumie. P. Kozłowski jest *filozofującym dziennikarzem*, i to nawet wtenczas, kiedy omawia zagadnienia ściśle naukowe i filozoficzne. Uważa on wprawdzie, że filozofowie powinni być publicystami, atoli przekonanie to jest słuszne o tyle, o ile stwierdza konieczność traktowania zagadnień publicystycznych, w sposób filozoficzny, konieczność zbliżenia wiedzy do życia. Niestety zbliżenie to występuje u p. Kozłowskiego w ten sposób, że zagadnienia poważne, filozoficzne traktowane są pobieżnie, po dziennikarsku. Wykazałem to dwa lata temu w krytyce jego dzieła p. t. „Dekadentyzm współczesny"; potwierdza się to również w jego „Wykładach o filozofji współczesnej". Autor porusza się z pewną łatwością tam, gdzie omawia filozofję popularną, nie opartą na głębszych podstawach teorjopoznawczych, i często też spotykamy tam trafne uwagi i spostrzeżenia. Pobieżność autora ujawnia się już w tłumaczeniu powstania oddzielnych systemów myśli: uważny czytelnik łatwo tutaj spostrzedz może, że tłumaczenia te zawsze prawie są zupełnie dowolne. Bardziej uwydatnia się dziennikarskie traktowanie rzeczy przy omawianiu samych systemów. Stojąc jedną nogą na gruncie kantowskiego krytycyzmu, autor stwierdza wprawdzie, że *pierwszy brzask świadomości zostaje wciąż i na zawsze zagadką transcendentną dla wiedzy*, atoli ujawnia on dalej zupełny brak krytycyzmu, nie zdając sobie sprawy ze stosunku, jaki zachodzi pomiędzy odwiecznemi zagadnieniami filozoficznemi a wiedzą doświadczalną. Tak np., mówiąc o różnych hipotezach przyrodniczych o (teorji samorodka, teorji Darwina etc.) zdaje on się zupełnie zapominać, że żadna z nich nie może nam wytłumaczyć *pierwszego brzasku świadomości*, i wojuje z przeciwnikami tych teorji, jako z reakcjonistami, zupełnie

jakgdyby teorje te w stanie były odwieczne zagadnienia filozoficzne rozwiązać i filozofję samą zastąpić. Najbardziej jednak pobieżność i płytkość p. Kozłowskiego występują przy roztrząsaniu zagadnień praktycznych. Śmiesznem poprostu musi się wydać twierdzenie autora, że ze wszystkich stronnictw czynu, które stosowały teorję Marksa, polska partja socjalistyczna pierwsza wyemancypowała się w swoich wymaganiach praktycznych z dogmatyki materjalizmu dziejowego, a więcej niż śmiesznem wydaje się jego pompatyczne zakończenie tego wykładu, że nie dla uzyskania aprobaty mówi filozof (?), oraz że nie powinno go wstrzymać nawet i to, że na razie nie będzie usłuchany, bo nie zdejmuje to z niego obowiązku przedstawiania oblicza prawdy takiem, jakiem je widzi. P. Kozłowski staje się rażąco niesprawiedliwym, gdy mówi o systemach myśli, które sam nieszczęśliwie ochrzcił mianem dekadentyzmu. Tak więc autor zwala w jedną kupę filozofję Nietzsche'go i Stirnera, jako filozofję indywidualistyczną, nie wiedząc wcale o tem, że Stirnera charakteryzuje chęć uzasadnienia bezwzględnego egoizmu (jakkolwiek teorji tej S. konsekwentnie nie przeprowadził), gdy tymczasem Nietzsche odrzucał i zwalczał nie tylko egoizm bezpośredni, lecz również egoizm w formie poświęcenia się dla innych, i *szukał usprawiedliwienia ludzkiego bytu w gotowości nadczłowieka do poświęcania siebie i innych dla celu po za dobrem ludzi leżącego, dla ciągłego doskonalenia się wszechbytu.*

Dla Nietzsche'go lew jest symbolem siły, potrzebnej człowiekowi do tego, by mógł się uwolnić od jarzma przesądów i tradycji; p. Kozłowski przedstawia rzecz tak, jak gdyby lew miał być dla Nietzsche'go symbolem egoisty, pożerającego innych, i nie wie znów o tem, że lew symbolizuje tylko drugie przeobrażenie człowieka, oraz że trzecie i ostatnie przeobrażenie człowieka symbolizuje dziecko swoją szczerością i bezpośredniością. Niewątpliwie można filozofji Nietzsche'go nie uznawać, można ją zwalczać, atoli trzeba ją zrozumieć, a w każdym razie żaden poważnie myślący pisarz nie próbuje więcej wzniosłości jej zwątpieniu poddawać. P. Kozłowski jednak bez ceremonji nazywa Nietzsche'go pruskim filistrem, brutalnym, dekadentem i... jeden Bóg raczy wiedzieć, kim go tu p. K. nie nazywa. Widocznie p. K. jeszcze niezrozumiał, że towszystko, co on podciąga pod ogólne miano dekadentyzmu, jest dla niego rzeczą zgoła niedostępną.

Jakób Lewkowicz.



Z prośbą o wydrukowanie nadesłano nam następujące odezwy:

— —

„Młodzież polska i żydowska, zebrana w Darmsztacie 26 maja r. b., na odczycie St. Brzozowskiego, wyraża swe oburzenie dla małodusznej, obłudnej i uwłaczającej godności walczącego o swe prawa w Królestwie ludu—postawy, zajętej przez naszych rzekomych posłów w Petersburgu!“ Rezolucja ta została przyjęta 50 głosami na 55 zgromadzonych, 5-ciu obecnych powstrzymało się od głosowania.

„Młodzież polska akademicka w Karlsruhe, zebrana na odczycie p. Stanisława Brzozowskiego, dnia 25 maja 1906 r., uchwala następującą rezolucję:

„Podstawą realną praw Królestwa Polskiego do autonomji jest nie powoływanie się na jakiekolwiek martwe pamiątki historyczne, a więc i na Kongres Wiedeński, owe uprawnienie gwałtu nad Królestwem Polskiem, lecz walka, którą prowadzi lud polski, pozbawiony dziś praw wybierania swych reprezentantów. Lud ten będzie miał swą reprezentację wtedy, gdy wybory będą się odbywały na zasadzie równego, powszechnego, tajnego i bezpośredniego prawa wyborczego“.

Podpisali: Feliks Wysocki, Olgierd Jeleński, H. Kamioner, Kosiński, C. Gdesz, A. Żurawski, J. Siennicki, J. Jasiński, W. Markowicz, Czesław Przybylski, Wacław Moszkowski, Józef D. Adler, Konstanty Konarski, Janusz Kaliński, Józef Ginsberg, Eleonora Pruszak, Witold Berezowski, Stefan Goldcwajg, Bolesław Lindenfeld, Bolesław Handelsmann, Stefan Trąbczyński, Jakób Millauer, Zbigniew Klawe, B. Hâc, St. Portner, Stempkowski, Jakób Brokman, Artur Bauniberg, Czesław Rajcom, Feliks Bradysiewicz, W. Lindenfeld, St. Bercza, A. Janowicz, Zdzisław Czerwiński, Skarbiński, Maks Zwejgbaum, Edward Wójcicki, Kazimierz Magdzicki, Sokołow, K. Pełechowicz, K. Dzierżyński, Z. Kalinowski, Aleksander Raniecki, Karol Karczewski, St. Brokman, K. Słaboszewicz i Łuszpiński.

Odezwa niniejsza została wysłana na ręce posła Aleksandra Lednickiego.

Były urzędnik ubezpieczeń rządowych, wydalony w grudniu, poszukuje posady. — Wiadomość Jasna 8. Rządca domu.

OGŁOSZENIA.

Gazeta Wileńska.

dziennik polityczny, literacki i społeczny
w Wilnie

została wznowiona i zacznie wychodzić z dniem 16 | 29 Maja r. b. pod redakcyą p. Michała Römera.

Prenumerata w Wilnie i Mińsku: rocznie r. 6, dwumiesięcznie 1 r., miesięcznie 60 kop; z przesyłką pocztową: rocznie r. 8, kwartalnie r. 2. miesięcznie 75 kop. Wilno. Wileńska 29.

„PRZEGLĄD SPOŁECZNY"

Tygodnik, wydawany przy współudziale wybitniejszych polskich pisarzy **postępowych.**

Zamieszcza prace z dziedziny nauk społecznych — ekonomji politycznej, socjologji, polityki, historji, sprawozdania z ruchu społecznego i naukowego, oraz utwory z zakresu beletrystyki i krytyki literackiej.

PRENUMERATA:

w Warszawie:	r. k.	Z przesyłką pocztową:	r. k.
Rocznie	7 60	Rocznie	9 —
Kwartalnie	1 90	Kwartalnie	2 25
Miesięcznie	— 65	Numer pojedyńczy	— 15

Adres: Warszawa, Wiejska 15.

Numer okazowy na żądanie bezpłatnie franco.

Gabinet Tłomaczeń i Przepisywania na maszynach

Ś-to Krzyska № 30 (obok poczty).
Telefon 65 54.

Wykonywa szybko i najdokładniej tłomaczenia techniczne handlowe, specjalne i naukowe.

Przepisywanie na maszynach. Korespondencya handlowa we wszystkich językach.

Fabryka Farb. dawn. Fr. Bayera i S-ki

w Elberfeldzie.

„SOMATOZA"

Somatoza — środek odżywczy i posilny dla osób osłabionych i rekonwalescentów.

Somatoza — wyrabia się z mięsa i zawiera ciała białkowe i odżywcze sole.

Somatoza — zawiera lekko strawne części składowe, które się szybko wchłaniają i podnoszą odżywianie organizmu.

Somatoza — w wysokim stopniu pobudza apetyt.

Somatoza — w krótkim czasie podnosi wagę ciała i po 2 — 3 tygodniowem jej użyciu można już zauważyć przyrost wagi do kilku funtów.

Somatoza — jest naturalnym środkiem wzmacniającym dla słabowitych i rekonwalescentów.

Somatoza — proszek łatwo rozpuszczalny w płynach: mleku, kawie, kakao, czekoladzie, herbacie, zupie i t. p., nie posiada żadnego zapachu ani smaku, bywa chętnie używana.

Chorym, potrzebującym żelaza, najlepiej podawać **Somatozę żelazistą** t. j. Somatozę, zawierającą 2 i pół % żelaza w połączeniu organicznem, w którem zupełnie nie czuć smaku żelaza.

Chorzy, mający wstręt do mięsa, lub też dzieci, skłonne do biegunki, winni używać **Somatozy mleczne**, t. j. Somatozy przygotowanej z mleka, a nie z mięsa.

DOZA dla dorosłych: po łyżeczce od herbaty w kawie, mleku i t. p. po 3 — 4 razy dziennie.

Dla dzieci: stosownie do wieku od 1 grama—(około $^{1}/_{4}$ zołotnika) do 8 gramów (około 2 zołotników) w 3 dawkach.

Sprzedaż Somatozy we wszystkich aptekach oraz znaczniejszych składach materjałów aptecznych.

B. urzędnik kolei Wiedeńskiej, znający buchalterję, posiadający świetne świadectwa poszukuje biurowego zajęcia.

Adres w redakcji naszego pisma Wiejska 15 m. 2.

B. Kochanowicz

Przeprowadzki

OPAKOWANIE i PRZECHOWANIE MEBLI

Bielańska № 3. — Marszałkowska № 90.

Sully Jakób.

Dusza Dziecka

tłomaczyła

Izabella Moszczeńska

Cena rb. 2, 50 k.

ZAKŁAD

Stolarsko-Tapicerski

firmy

„STANISŁAW"

Erywańska 14

Trzeci dom od Marszałk. (wprost skweru).

Posiada na składzie różne *Meble* i przyjmuje zamówienia na urządzenia apartamentów po cenach nizkich.

WYKONANIE SUMIENNE.

Wyższy Instytut Techniczny

Frankenhausen w Kaffäuser.

WYDZIAŁY:

Elektrotechniczny, budowy maszyn i budowy narzędzi rolniczych.

Program gratis.

Wydawnictwa Naukowe

we wszystkich księgarniach

H. Höffding, Zasady Etyki	Cena kop.	25
T. Ribot, O wyobraźni twórczej	„ „	25
Gide i Belot, Miłosierdzie, sprawiedliwość i dobór naturalny	„ „	15
Ferrero, Czynniki postępu moralnego	„ „	15
Münsterberg, Nauka w stosunku do życia i sztuki	„ „	15
J. Sully, Dusza dziecka (psychologja dziecka) rb. 2 k.		50
J. Wł. Dawid, Zasób umysłowy dziecka	„ „	60
F Paulsen, Kant i jego nauka, przekład polski uzupełniony wyjątkami z dzieł Kanta rb. 2.		

Prenumeratorzy Przeglądu Społecznego nie ponoszą kosztów przesyłki.

Księgarnia Powszechna

w Warszawie, ulica Marszałkowska 139. Tel. 4502.

poleca następujące wydawnictwa własne i komisowe:

K. Legien. Niemieckie związki zawodowe	Rb. – 10 k.
Dr. Jerzy Jellinek. Deklaracja praw człowiek i obywatela	„ – 60 „
J. Nowikow. Wyzwolenie kobiety	„ 1 20 „
(w oprawie)	„ 1 60 „
W. Pember Reeves. Prawo wyborcze kobiet w Australji	„ – 20 „
Trzy konstytucje (1791, 1807, 1815)	„ – 50 „
Ustrój polityczny państw spółczesnych	„ – 40 „

BIBLJOTEKA SPOŁECZNA:

№ 1.	Gwarancje wolności osobistej w Anglji	Rb. – 05 k
„ 2.	Konstytucja Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej	„ – 08 „
„ 3.	*K. Kautsky.* Rozwój ustroju państwowego na Zachodzie	„ – 15 „
„ 4.	*S. Wrzosek.* Zasady ustroju państwowego na Zachodzie	„ – 15 „
„ 5.	*E. Bernstein.* Rozwój form życia gospodarczego	„ – 12 „
„ 6.	*K. Zetkin.* Kwestja kobieca	„ – 10 „
„ 7.	*E. Belfort Bax.* Historja Rewolucji francuskiej	„ – 40 „
„ 8.	„ Historja Kumuny Paryskiej	„ – 25 „

Wielka Kawiarnia St. Ostrowskiego

Marszałkowska róg Złotej.

CODZIENNIE KONCERTY.

TREŚĆ NUMERU: Likwidacja szlachetczyzny, przez St. Brzozowskiego. — Zimnej krwi, przez S. B. — Z dziennika prostytutki, przez Antoniego Millera. — Nad grobem Ibsena, przez St. Brzozowskiego. — K. Kautsky, Etyka dalszy ciąg. — Sprawozdania, przez Jakóba Lewkowicza. — Odezwy. — Ogłoszenia.

Redaktor i Wydawca *Stefan Szczawiński*. Warszawska Drukarnia Estetyczna, Wielka 25.